



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Doświadczenie krytyczne lat osiemdziesiątych: Jerzy Malewski i Tadeusz Komendant

Author: Krzysztof Uniłowski

Citation style: Uniłowski Krzysztof. (2008). Doświadczenie krytyczne lat osiemdziesiątych: Jerzy Malewski i Tadeusz Komendant. "FA-art" (nr 4 (2008), s. 20-30)

© Korzystanie z tego materiału jest możliwe zgodnie z właściwymi przepisami o dozwolonym użytku lub o innych wyjątkach przewidzianych w przepisach prawa, a korzystanie w szerszym zakresie wymaga uzyskania zgody uprawnionego.



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Krzysztof Uniłowski

Doświadczenie krytyczne lat osiemdziesiątych: Jerzy Malewski i Tadeusz Komendant



Pismo jak solidarność

Tytuł *Widziałem wolność w Warszawie*¹, który trafił na okładkę zbioru szkiców Jerzego Malewskiego, jest cokolwiek zwodniczy. Brakuje tu bowiem cudzysłowu – nie tylko dlatego, że tytułowa formuła to incipit fraszki Antoniego Orłowskiego i Władysława Buchnera, będącej sarkastycznym komentarzem do wydarzeń z roku 1905. Rzecz w tym, że kolejnym, wewnętrznym cudzysłowem powinno zostać opatrzone samo słowo „wolność”. W wierszu Orłowskiego i Buchnera alegorią wolności nie jest przecież żadna „jutrenka swobody”, lecz wiedźma, która choć się zdaje Konstytucją, to jednocześnie zdrowo wywija nahajką, szczerze obdarzając razami warszawiaków.

Fraszka Orłowskiego i Buchnera została przytoczona² jako motto do tytułowego a zarazem otwierającego książkę szkicu. Wymieniono przy tym nazwiska autorów, ominięto jednak datę pierwszego wydania (w satyrycznym piśmie „Mucha”). Być może dlatego, że wiersz znakomicie by pasował jako komentarz do wydarzeń, powiedzmy, z marca 1968 roku albo też zdawał się jakże aktualną ripostą na pacyfikację którejś z demonstracji w okresie stanu wojennego. Tak czy owak, w kontekście fraszki Orłowskiego i Buchnera tytuł książki Malewskiego okazuje się co najmniej dwuznaczny, jeśli nie ironiczny czy wręcz sarkastyczny. Prostacki bowiem czytelnik mógłby zakładać, że tytułowa formuła jest deklaracją świadka, że krytyk występuje jako apostoł Dobrej Nowiny, jako ten, kto dostąpił objawienia Wolności, wierność zaś temu objawieniu stanowi miarę jego krytycznych werdyktów. Mówiąc krótko, spodziewałby się, że Malewski wystąpi niczym święty Piotr na kartach powieści Sienkiewicza: „Ten człowiek widział! I opowiadał jako ten, któremu każda chwila wyrwała się tak w pamięci, że gdy przymknie oczy, to jeszcze widzi”³.

Fraszka Orłowskiego i Buchnera takie oczekiwania rozwiewa jak dym. W jej kontekście domniemane objawienie okazuje się praktyczną lekcją materializmu historycznego, oczekiwana wolność – uświadomioną koniecznością, jaką ku nauce mniej pojętych wyklada się nahajem. Nie koniec jednak na tym. Cytując Orłowskiego i Buchnera, Malewski sugeruje, że był świadkiem i ofiarą podobnego językowego oszustwa, że imię wolności zostało nadużyte i sprostytuowane przez władzę w akcie politycznej i policyjnej przemocy:

„To był naprawdę znakomity pomysł.

10 milionów ludzi nazwać marginesem społecznym, ideę kontrolowania władzy przez społeczeństwo – krwawą wojną domową, tysiące demonstrantów na ulicach – rozwydrzonymi wyrostkami. Aresztować przedstawicieli wszystkich warstw i grup społecznych. Torturować w więzieniach, bić pałkami i strzelać. I oczywiście, ogłaszać światu, że w ten sposób »porozumienie« władzy ze społeczeństwem stało się bardziej realne, bliskie i właściwie – pewne” (WWW, 9).

Dzięki prostym zabiegom perswazyjnym, dzięki posłużeniu się, gdy trzeba, pomniejszeniem, litotą, a kiedy indziej – amplifikacją i hiperbolizacją przedmiotu, można przedstawić pucz wojskowy jako akcję mającą unormować i ustabilizować „napiętą” sytuację społeczno-polityczną. Uderzający będzie przy tym cynizm operacji, którą Malewski nazwie „urbanizacją kraju” (WWW, 9). W tym określeniu nazwisko rzecznika ówczesnego rządu, Jerzego Urbana, zostało skontaminowane ze słowem „pacyfikacja”, operacja bowiem, o której mowa, posiada dwa, nierozłączne od siebie, aspekty:

propagandowy i policyjny. Właśnie ich złożenie stanowi bulwersujący skandal: powodzenie całej operacji nie zależy bowiem od skutecznej perswazji, od przekonania czy niechby retorycznego uwiedzenia odbiorcy-społeczeństwa. Zasadza się po prostu na siłę wojskowej lub policyjnej, z jakiej korzysta retor na usługach władzy.

Skoro Malewski rozpoczyna swą książkę od przypomnienia językowej manipulacji, to należałoby oczekiwać, że właśnie problem języka będzie tu fundamentalny. Okazuje się wszakże, że jako zbiorowość jesteśmy dysponentami zupełnie innego języka, który nie tylko obronił się przed próbami znieważenia, ale też potrafi przemoc, gwałt i bezprawie nazwać po imieniu. Tym językiem jest przeciwstawiona Urbanowej sofistycie – **literatura**: „od paru lat w świadomości literackiej coraz ważniejszy jest głos pokolenia, które chce pisać o tym, że »widziałem wolność w Warszawie«” (WWW, 11).

Widziałem wolność w Warszawie to książka w pierwszej części poświęcona (głównie) poezji stanu wojennego. Jej najważniejszymi bohaterami nie są jednak Stanisław Barańczak, Ryszard Krynicki czy Jan Polkowski. Rola taka została powierzona, co ciekawe, Tomaszowi Jastrunowi. Szczególnie ciepłe przyjęcie jego poezji wynika poniekąd ze swego rodzaju handicapu: *Na skrzyżowaniu Azji i Europy* (1982) Te-Jota to przecież „pierwszy tomik poezji wojennej” (WWW, 21), co musi mieć swoją wagę, skoro w naszym kraju i w naszej tradycji „poezja to broń szybkiego reagowania” (tamże). O randze propozycji Jastruna decyduje jednak przede wszystkim to, że wykracza ona poza formułę poetycką zaproponowaną onegdaj przez Nową Falę. Wiersze Te-Jota, czytamy, znamionują powrót do „poetyckiej refleksji” (WWW, 22), „opisowy realizm (...) zostaje [w nich – dop. K.U.] przekształcony w formułę metaforyczną lub symboliczną” (WWW, 23).



Intygująca wydaje się ta potrzeba „przekroczenia” Nowej Fali. Tym bardziej, że doświadczenie stanu wojennego, tak jak opisał je Malewski, doświadczenie językowej manipulacji, zakrawa wyłącznie na replikę doświadczenia Marca '68. Nie ulega też wątpliwości, że rola i ranga poezji Nowej Fali pozostają dla Malewskiego bezsporne. Tyle tylko że owa rola i ranga są już w jakiejś mierze... historyczne. Co sugeruje, że Nowa Fala, przynajmniej ta „wczesna”, ze swojego bojowego i programowego okresu, jest już *passé*. Owszem, twórczość poetów Marca '68, bohaterów bardzo wysoko ocenionej książki Tadeusza Nyczka, została nazwana „pierwszym świadectwem przebudzenia się obywatelskiego i społecznego sumienia w PRL” (WWW, 59), wydaje się jednak, że po przebudzeniu trzeba wykonać następny krok:

„Zniszczenie tradycyjnego dyskursu (monologu, refleksji, etc.) umożliwiło stworzenie poetyckiej analizy języków otaczającej nas rzeczywistości. Ale językiem, który znajduje się w stanie permanentnego podejrzenia i nieufności (termin Barańczaka) trudno formułować sądy o rzeczywistości, a przede wszystkim głosić trwanie wartości” (WWW, 22).

Potrzebą czasu jest więc nowy język poetycki, który byłby władny osądzać (rzeczywistość) i proklamować (trwanie wartości). Język ten zaś musi być poza wszelkimi podejrzeniami, musi sprostać inicjacyjnej próbie. Wydaje się, że przystęp Nowej Fali według Malewskiego była właśnie takim *rite de passage*. Teraz nadeszła już pora na ustanowienie poetyckiego imperium.

Niektóre tomiki okresu stanu wojennego, na przykład Leszka Szarugi *Czas morowy* (1983) albo Jana Martego (wł. Jarosława Markiewicza) *Wszędzie jest ziemia* (1982) wydadzą się Malewskiemu należeć do owego „czasu przejścia”, kiedy to poezja pyta, „jak tworzyć świadectwo teraźniejszości” (WWW, 29). Ważniejsze będą jednak te wiersze, które przynajmniej silują się z tym zadaniem. Trzeba podkreślić, że nowy język poetycki pozostaje dla Malewskiego kwestią **inwencji**. Pisząc o wierszach Jastruna, krytyk zwraca szczególną uwagę na „formuły zawierające prawdy głębsze” (WWW, 23). Chodzi na przykład o poetycki „komentarz, który mógłby pełnić funkcję maksymy czy zaskakującej pointy” (tamże). Pisząc o kolejnym tomiku Te-Jota, *Białej łące* (1983), recenzent docenia „niespodziewaną metaforę” oraz „nieoczekiwane konstruowanie znaczenia” (WWW, 32). Nowy język musi się więc wiązać z rewelacją. Inna sprawa, że akurat w wypadku wierszy Tomasza Jastruna ich aspekt rewelatorski wydaje się mocno dyskusyjny: „Cała Polska jest w tych wierszach ciałem: katowanym, udręczonym, torturowanym” (WWW, 23). Taki obraz poetycki, mający ilustrować zbiorowe doświadczenie stanu wojennego, mówi przecież coś nadto. Odsyła mianowicie do postronantycznego wyobrażenia literatury pasożytującej na „ciele społecznym”, bo domagającej się, by poprzez swoje cierpienie i poprzez swoją ofiarę ciało przydało moc słowu, by społeczeństwo ożywiło literaturę.

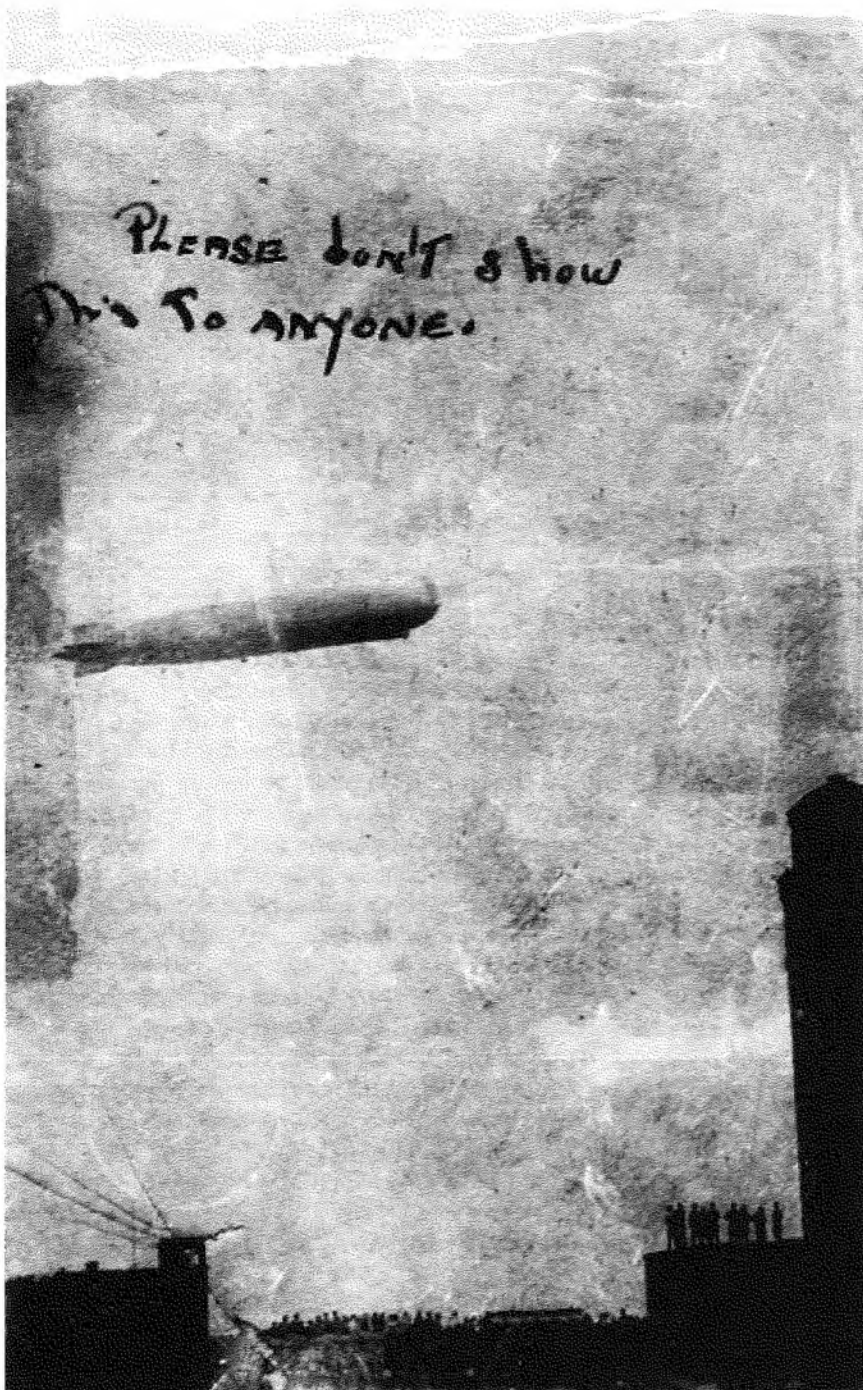
Istnieje wszakże inna jeszcze możliwość: słowo pragnie towarzyszyć ciału, chce – tak jak ciało – doznać wszelkich tortur, chce w ten sposób zaświadczyć, ale i współuczestniczyć w ofierze. Wówczas język stałby się formą czy też matrycą, w której odcisnąłby się inny, represyjny dyskurs władzy. Takie ujęcie nakazywałoby jednak zwrócić szczególną uwagę raczej na te wiersze, które – jak na przykład u Leszka Szarugi – mierzą się „z ułomnością i bezsilnością mowy literackiej” (WWW, 30), które nie żaden obcy, lecz swój własny język stawiają „w stan permanentnego podejrzenia i nieufności”. A mówiąc inaczej, znajdują obcego we własnym języku. Wszystko to

nakazywałoby również, by w tych zmaganiach dostrzec ślepią plamkę – **piętno cenzury** w obiegu niezależnym. Bo, owszem, niemoc literatury, niemoc jej sądów, bezsilność jej proklamacji mogą zostać uznane za skazę, za świadectwo pozostawania w kręgu zakazu przedstawiania. Malewski myśli wszakże o języku nieskalanym, który nie pozostawałby z żadnym związkiem z językiem znieprawionym przez władzę. O języku niczym szioleto, którego nikt niepowołany nie zdoła powtórzyć, podrobić ni przywłaszczyć.

Taki bowiem język okazuje się niezbędny dla nakreślonej w książce wizji życia społecznego. Znajdziemy ją w trzeciej, ostatniej, a zarazem – śmiem twierdzić – najbardziej frapującej części tomu. To nieprawda – pisze Malewski – że żyjemy w czasach kryzysu społecznego. (Takie twierdzenie, dodajmy, byłoby również przejawem „urbanizacji”). Przecież przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych to okres świetności życia publicznego: „**przekonanie o konieczności tworzenia alternatywnych struktur życia społecznego** – oto kapitał młodej generacji Polaków” (WWW, 174). Tymczasem system komunistyczny zasadzał się na fikcji jedności społecznej oraz ideologicznej⁴, przy zazdrośnie strzeżonym monopolu Partii na działanie polityczne. Już sam uniwersalny charakter ideałów komunizmu⁵ oraz projekt społeczeństwa bezklasowego przekreślały możliwość istnienia wewnętrznej opozycji. Kto odrzucał komunistyczny projekt, ten musiał być albo osobą zindoktrynowaną przez wrogów, kimś, kogo należało oświecić i wychować, albo też, działając w imię partykularnego interesu, zdradzał się jako wróg, reakcjonista, który tym samym wykluczył się z jednolitej, socjalistycznej zbiorowości. Tertium non datur. W tych warunkach dyskurs publiczny musiał być monolitem, by zabezpieczyć stabilność całej konstrukcji społeczno-politycznej. Dopiero wraz z Październikiem pojawiły się sfery wydzielone, gdzie można było artykułować heterodoksyjne idee i postawy. W myśl niepisanej umowy władza zastrzegła sobie przy tym prawo do wyznaczenia tego obszaru życia publicznego, na którym w sposób bezwzględny obowiązywał monodyskurs. Tutaj, na obszarze uznanym przez rządzących za istotny dla podtrzymania systemu, nadal mieliśmy do czynienia z hegemonią jednego podmiotu politycznego oraz jedynym językiem.

Tak czy owak, oznaczało to *de facto* kres dążeń do wprowadzenia porządku totalnego. Wraz z rokiem 1956 władza pogodziła się z heteronomicznym charakterem życia społecznego. Wszelako wszystkie te sfery aktywności, na których dopuszczano zachowania heterodoksyjne, zostały jednocześnie uznane za peryferyjne, nieistotne dla porządku politycznego. Tylko w ten sposób można było sobie poradzić z kwadraturą koła: władza zachowała absolutną wyłączność na aktywność polityczną, a jednocześnie skurczył się obszar, na którym ta wyłączność obowiązywała. Pociągało to praktyczne zawężenie sfery uznawanej oficjalnie za publiczną i bardzo ostry dysonans pomiędzy tym, co oficjalne i nieoficjalne (niezależne).

W takiej sytuacji konflikt polityczny między władzą zainteresowaną utrzymaniem i rozszerzeniem swojego monopolu, a wszystkimi środowiskami dążącymi do rozszerzenia „nieoficjalnego” obszaru dozwolonej heteronomii, otóż ten konflikt nie mógł być opisywany jako polityczny, albowiem „polityczność” pozostawała przywilejem zastrzeżonym wyłącznie dla rządzących. Powstanie i uznanie „Solidarności” – na co kapitałnie zwrócił uwagę Malewski – ujawniło ten paradoks, czy nawet więcej: ujawniło go jako **skandal**, którego na dłuższą metę żadna ze stron nie umiała (bo i nie mogła) tolerować: „PZPR uznała legalne istnienie pozaparlamentarnej opozycji



politycznej, a opozycja ta – »Solidarność« – zobowiązała się, że nie stanie się partią polityczną. To była ta realność, której **nie opisano we właściwym języku politycznym**» (WWW, 178 – podkreśl. J.M.). A jeśli tak się stało, to dlatego, że takiego języka („języka właściwego” – Malewski dixit) po prostu nie było czy też, co na jedno wychodzi, nie można było go użyć w oficjalnym życiu publicznym, w tym – w negocjacjach z rządzącymi. Język, rzecz jasna, nie tylko odtwarza czy wyraża („opisuje”) praktykę społeczną, nie tylko jej sekunduje, ale też sam jest jednocześnie polem oraz instrumentem takiej praktyki, jest procedurą, która ją reguluje, sankcjonuje i „pieczętuje”. Realność społeczno-polityczna, której „nie opisano”, jest czymś, co nie zostało skodyfikowane, pozostając bytem nielegalnym i nieoficjalnym, niepublicznym⁶, takim, którego istnienie będzie kwestionowalne (*res realis sacris*⁷!). „Realność, której nie opisano” (we „właściwym języku”) nie posiada **praw** realności.

Jeśli nawet Jerzy Malewski zagadnieniom dyskursu publicznego nie przypisywał takiego aż znaczenia, to – docerńmy – problemu bynajmniej nie zlekceważył. Choć język („właściwy język”) pozostał dla niego tym, co wyłącznie wyraża pierwotną i prymarną realność, to i tak widać doskonale, że krytyczny punkt ciężkości przesunął się w stronę języka, bo to on (język) okazał się właściwym zadaniem, czymś, co należy odkryć, wymyślić, wynaleźć. Właśnie w języku i o język rozgrywa się najistotniejsza batalia. I jeśli jest prawdą, że nie chodzi tutaj o język dowolny, lecz ten „właściwy” („właściwy” dla potrzeb opisu pewnej realności), to zauważmy, że właściwy będzie każdy język fi-

nalny, a więc taki, o którego dopiero toczy się spór, taki, który pozostaje zadaniem, taki, którego trzeba wypracować.

Bez względu na to, jak przedstawiałyby się zależności między „właściwym językiem” oraz powiązaną z nim „realnością”, przyjdzie stwierdzić, że kluczowym zadaniem w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku stało się wypracowanie (wynalezienie) takiego języka, który – by oddać głos Malewskiemu – „umożliwi Polakom rekonstrukcję życia politycznego **na zasadach pluralizmu i poszanowania woli większości**” (WWW, 179 – podkreśl. J.M.). To prawda, że w oryginalnym tekście podmiotem przytoczonego zdania nie był język, lecz formy organizacji życia społecznego, wszelako praktyka społeczna



oraz dyskurs publiczny pozostają w tak ścisłej zależności, że jedno pociąga za sobą drugie, a nawet więcej – jedno zawiera się w drugim i vice versa, co zresztą w pośredni sposób ukazuje bardzo płynne przechodzenie w artykule Malewskiego od zagadnień dyskursu publicznego do kwestii **ustrojowych** (problemy te okazują się komplementarne i wymienne). Omawiany szkic tłumaczy również, dlaczego środowiska opozycji demokratycznej – a wraz z ogłoszeniem stanu wojennego taka tendencja tylko przybrała na sile – wyrzekły się związków z dyskursem i tradycjami lewicy.

„Wśród rozmaitych idei, jakie pojawiły się w niezależnych rozważaniach politycznych po roku 1976 najpowszechniej akceptowana była ta, która mówiła, że już najwyższy czas przestać dzielić świat na państwa kapitalistyczne i socjalistyczne. Z perspektywy procesów, jakie można było obserwować w Polsce, podział systemów politycznych świata za pomocą tych kategorii jest pomyłką, by nie powiedzieć – demagogią. W publicystyce politycznej, jaka pojawiała się czasem na łamach pism niezależnych, coraz częściej dochodziło do głosu przekonanie, że para pojęć: demokracja i komunizm – najtrafniej wskazuje na kluczowe problemy polityczne współczesnego świata. Demokracja jest ze swej natury pluralistyczna (jej zasadą jest istnienie wielu różnych partii politycznych), natomiast komunizm jest ze swej istoty monopartyjny” (WWW, 176).

Oznacza to, że zrezygnowano z programu zreformowania socjalizmu czy też zastąpienia jego monopartyjnej karykatury przez jakiś socjalizm „właściwy”⁸. Antykomunistyczny dyskurs odwołujący się do demokracji, poszanowania autonomii jednostki (także w sferze politycznej) oraz pluralizmu w życiu społecznym istniał przecież od dawna. Nie trzeba go było wymyślać. Stąd też się wzięło rosnące zainteresowanie i popularność w niezależnej publicystyce politycznej lat osiemdziesiątych idei liberalnego społeczeństwa otwartego oraz – Malewskiemu zapewne dużo bliższej – republikańskiej wspólnoty obywatelskiej.

Nie zapominajmy jednak, że język jako dyskurs stanowi też pewną praktykę. Wypracowywanie języka, który honorałby autonomię jednostki, sprzyjał pluralizmowi w życiu publicznym, musi również oznaczać mówienie jako praktykowanie i doświadczanie wielości czy zgoła – mnogości. Wszelako książka Malewskiego zarysowuje projekt innego języka, mianowicie takiego, który oznaczałby raczej praktykowanie

i doświadczanie wspólnoty, niechby wspólnoty skupionej między innymi pod sztandarami pluralizmu i społeczeństwa obywatelskiego. Język – język demokracji, język pluralistycznego społeczeństwa – został tu sprowadzony do rzędu hołubionych idei, „wartości-mitów” czy „wartości-symboli” (WWW, 186), a w konsekwencji począł istnieć jako **pismo**, ściślej – krótkoznaczki, znak graficzny, hasło i emblemat, będący **ikonieczną reprezentacją wspólnotowego doświadczenia**⁹.

Po pielgrzymce papieża Jana Pawła II z 1983 roku, mając na uwadze transparenty sporządzone charakterystycznym krojem pisma, tak zwaną solidarycą, Jerzy Malewski pytał: „Cóż bowiem może znaczyć, jeśli takie słowa jak »pokój«, »wolność«, »sprawiedliwość«, »miłość«, »nadzieja«, »Gdańsk«, »Poznań« czy »Ursus«, jeśli takie formuły jak »zawsze z Tobą«, »Ty jesteś naszym Ojcem« pisane są liternictwem i znakami »Solidarności«?” (WWW, 185). I odpowiadał: to znaczy, że „Solidarność” stała się „**ideą**, wartością, niematerialnym składnikiem każdego wymiaru życia społecznego i prywatnego” (tamże – podkreśl. J.M.). A dalej:

„(...) nic przecież tak silnie nie wiąże ludzi emocjonalnie, jak wspólne przeżywanie symboli i wartości. Liternictwo solidarnościowe, w czasie pobytu Papieża w Polsce, pokazało nam ten fakt w całej pełni jego symbolicznego i społecznego znaczenia. **Znak graficzny „Solidarności” łączył, zbliżał i utożsamiał pojęcia, hasła i dążenia bardzo różne i wielopokoleniowe.** Ale z tego różnorodnego chóru głosów układała się nowa, spójna całość, wylaniał się nowy fakt społecznej świadomości – tak jak z połączonych ze sobą liter – jeden napis: SOLIDARNOŚĆ” (WWW, 186 – podkreśl. moje, K.U.).

A choć język jako znak graficzny – analogicznie do samej idei solidarności – pozostawał otwarty „**na różne hasła i wartości**” (tamże – podkreśl. J.M.), to jednocześnie wiązał się z doświadczeniem **jedności** i zarazem wyrażał je jako swoisty **adwent**, oczekiwanie i przygotowanie na czas wolności. Pokazuje to kapitalnie zamykający szkic „obraz”, niebędący w żadnym razie wspomnieniem (w żadnym wszak ze zgromadzeń podczas pielgrzymki papieża nie mogło uczestniczyć kilkanaście aż milionów osób), ale za to **wizualizacją** zdefiniowanej wyżej ikoniecznej figury wspólnoty:

„A ja mam przed oczami taki obraz: kilkanaście milionów „prywatnych osób” wznosi do góry palce ze znakiem zwycięstwa i modli się z Ojcem Świętym słowami: »Ojczyznę **wolną** racz nam **wrócić** Panie...«” (WWW, 187 – podkreśl. J.M.).

Nauka pisania

W szkicach zebranych w tomie *Zostaje kantyczka*¹⁰ Tadeusz Komendant bardzo dobitnie podkreśla doniosłość doświadczeń marcowych. Perspektywa pokoleniowa niewiele by tu wytłumaczyła¹¹, tym bardziej, że eseista wyraźnie odrzuca klasyfikacje i stratyfikacje generacyjne. Wnioskom wypływającym z Marca Komendant przydaje dużo szerszy sens: w marcu 1968 roku na Uniwersytecie i na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie skończył się dla nas, Polaków, i dla kultury polskiej wiek XIX jako wiek ideologii. Byliśmy świadkami katastrofy „Wielkich Słów”, które miały odsłaniać i podtrzymywać sens historii oraz polityki, a które zostały nadużyte i „skorumpowane” – okazało się bowiem, że legitymizacją władzy jest sama władza (ZK, 8, 52-54).

W *Zostaje kantyczka* Komendant nie przywoływał Lyotarda, mówiąc o końcu ideologii myślał raczej o tytule polskiej książki Raymonda Arona niż pracy Daniela Bella¹². Zwróćmy jednak uwagę, że w istocie polski autor miał na uwadze nie co innego, jak właśnie koniec *les grands récits*.

Katastrofa „Wielkich Słów” skutkuje brakiem „właściwego języka” (ZK, 20) dla analizy i opisanego warunków funkcjonowania kultury. W dodatku sprzeczność między jednokrotnością i historycznością zapisu a jednorodnością i ciągłością sensu prowokuje nas do podtrzymywania idei „jednorodnej przestrzeni komunikacyjnej” (ZK, 24), wraz z dopełniającym i uzasadniającym tę ideę mitem historii jako siły złowrogiej, nieszczęśliwej, zagrażającej kulturze. Stąd między innymi kariera neoklasycyzmu. Dlatego też – powie Komendant – borykamy się z „kulturą pozbawioną swojej historii” (ZK, 25). Bo – podkreśli w innym miejscu – literatura polska „to literatura pozbawiona swojej historii. Miejsce historii zajęły **mitologie**” (ZK, 111). I dalej:

„Literatura stała się umownym systemem porozumienia – **zamkniętym językiem** – w którym nie ma możliwości pytań o jego prawomocność. W literaturze tej nie ma czasu teraźniejszego, choć może słuszniej byłoby powiedzieć, że wszystko jest zmitologizowanym czasem teraźniejszym, w którym literatura tkwi jako **całość**” (ZK, 112)¹³.

Kultura rezygnuje z historii na rzecz mitologii wówczas, gdy uznaje się za depozytariuszkę nieprzedawnialnych wartości oraz za wartość samą w sobie, gdy zarzuca pytanie o własną prawomocność, gdy zapomina o zmyśle autokrytycznym, gdy aspiruje do wyłączności i powszechności. Trwanie takiej formuły kultury i literatury łatwo by zapewne objaśnić urazem wynikającym ze społecznej depersonalizacji i politycznego wykluczenia. Wówczas kultura – kultura narodowa albo kultura „wysoka” – poczyną się nam jawić jako azyl, a jej historyczne formy są podtrzymywane jako sprawowane przez nas rytuały. I nie ma różnicy, czy chodzi o swojski rytuał samoposwiecenia, czy też o pilne czytanie zachodnich wyłącznie pisarzy. Być może **założona** anachroniczność takiej formuły posiada pewien urok, niemniej na dłuższą metę okaże się ona wyjąłwiająca i destrukcyjna. Píše Komendant:

„To, co wyróżniłem jako fikcję – jedność celów literatury, homogenizująca całość jej obszaru i całkowitość doświadczenia, komunikacja jako obecność tych samych norm i tekstów po stronie i nadawcy, i odbiorcy – jest spadkiem dziewiętnastowiecznego modelu literatury. Mówiąc dokładniej: literatury mieszczańskiego realizmu. W dwudziestym wieku model

ten przestał obowiązywać, bo uległa rozbiciu **przestrzeń jednorodnej komunikacji** (...). Rozbicie przestrzeni jednorodnej komunikacji odkrywa sferę praktyk społecznych. W tej sferze istnieje wielość głosów i wielość sensów, wielość prawd, które są różne, ale i równe w tej różności" (ZK, 114).

Najbardziej zajmujący autor *Zostaje kantyczka* jest wszakże nie jako krytyk „jednorodnej przestrzeni komunikacji”, ale jako projektodawca zupełnie innej formuły kultury. Punkt wyjścia stanowi „lekcja” Nowej Fali, bo to jej przedstawiciele odkryli i zmierzili się z „**pozycyjnością prawdy**”, wypracowali również „sposoby jej zapisu” (ZK, 80). Owszem, u nowofalowców Komendant dostrzega też pewną słabość, ale jego korekta zmierza akurat w kierunku innym niż krytyka Malewskiego. Poetom pokolenia '68 eseista wytyka hołubioną na przekór doświadczeniom „nadzieję transcendencji” (ZK, 81), za sprawą której wnioski o „pozycyjnym” charakterze wszelkich prawd przesłonięte zostają przez wiarę w „Prawdę” jako zniesienie sprzeczności między konkretem a symbolem.

Właściwymi bohaterami Komendanta okażą się zatem autorzy z drugiej połowy lat siedemdziesiątych, „spadkobiercy marcowych doświadczeń” (ZK, 58), którzy „musieli (...) wejść w obszar milczenia, by uwzględnić także to coś, co tekst podtrzymuje. To miejsce w społecznej przestrzeni, to jednostkowe zdanie, zdanie-sobie-sprawy, różnicę” (tamże). Chodzi między innymi o prozaików debiutujących w połowie ósmej dekady: Jerzego Plutę (*Sto czyżyków*, 1978), Janusza Andermana (*Zabawa w głuchy telefon* – 1976, *Gra na zwłokę* – 1979), Józefa Łozińskiego (m.in. *Pantokrator*, 1979), Ryszarda Schuberta (m.in. *Panna Lilianka*, 1979). Znowu, kwestie pokoleniowe nie były tu istotne – wymienieni autorzy to rówieśnicy nowofalowców, zaś Pluta – rocznik 1942 – metrykalnie byłby najbliższy Orientacji. Jeden z najważniejszych szkiców w książce, *Antygravitację*, Komendant poświęcił utworom Dominika Opolskiego, równolatka Nowej Fali, ale przecież nie jej przedstawiciela. Najbliższej tradycji dla zajmującej go formuły literatury szukał u Buczkowskiego i – zwłaszcza – Białoszewskiego. Bo najważniejsza miała tu być poetyka „gestu językowego” (ZK, 85), będącego „również samą czynnością wypowiadania, pewną praktyką, dokonującą się tu i teraz” (tamże). Píše Komendant (w związku z prozą Andermana):

„Tu prawda jest wyłącznie pozycyjna: istnieje w informacyjnym szumie zabawy w głuchy telefon, przejawia się w grze na zwłokę między zdarzeniem i jego literackim zapisem. Prawda ogólna – jeśli można mówić o niej – jest sumą: ale nie w sensie arytmetycznym, gdzie kolejne składniki znikają bez reszty w jednej wielkiej liczbie, lecz w **sensie geometrycznym**: składniki te istnieją razem, ale i osobno, każdy w swej indywidualnej niepowtarzalności. Nie wielość, lecz **wielorakość**, zachowana różnorodność konkretnego, przestrzenna struktura wielu głosów” (ZK, 84).

„Pozycyjność” prawdy nie oznacza relatywizmu. Oznacza nieredukowalną **mnogość** prawdy, oznacza, że nie redukuje się ona do żadnej idei, że obejmuje całą różnorodność ludzkich doświadczeń. Przy świadomości, że doświadczenia te nie są bynajmniej wymienialne, że próżno szukać ogarniającej je wspólnoty; partycypacja bowiem w jakiegokolwiek bądź wspólnocie (narodowej, klasowej, pokoleniowej, ideowej itp.) będzie najwyżej wycinkiem, aspektem jednostkowego doświadczenia.

Jednostkowe doświadczenie zaznacza swoją osobność dzięki **różnicy**, którą – powiada Komendant – trzeba rozumieć jako „kategorię przestrzenną” (bo „jedynie w przestrzeni mogą istnieć jednostkowe zdania” – ZK, 44), a która zarazem

oznacza pewną synchronię (bo „jedynie w przestrzennej synchronii można mówić o współistnieniu różnych głosów niezależnie od siebie” – ZK, 45). W tej przestrzeni, par excellence społecznej, zajmujemy miejsce, a jednocześnie – **generujemy** ją, wypowiadając „jednostkowe zdanie”, zabierając głos, formułując wypowiedź. „Prawda pozycyjna”, czyli właśnie zdanie-głos-wypowiedź, nie mając ugruntowania w zewnętrznej idei, znajduje je w praktyce społecznej danej jednostki, jej aktywności i działaniu. Słuchać tutaj wyraźnie echa lektury Bachtina, a także – ledwie wzmiankowanego w książce – Ricoeura. Uporczywe upominanie się o zdarzeniowy aspekt wszelkiej wypowiedzi, o jej historyczność (choćby w sensie nietzscheańskiej „genealogii”) nawiązuje do teorii dyskursu, definiując go (dyskurs) jako dialektykę zdarzenia i znaczenia¹⁴. Jakkolwiek dyskurs charakteryzuje również „nadwyżka znaczenia”, pozwalająca na jego reprodukcję i proliferację, to fundamentalnym błędem filozoficznym (w tym także: społeczno-politycznym i etycznym) byłoby zatarcie związku ze „źródłowym” wypowiedzeniem. Wszak dyskurs nie może być podtrzymany wyłącznie za sprawą swojego znaczenia, lecz przez kolejne wypowiedzi: interpretacje, repliki, sprostowania.

Widać przy tym doskonale, że lektury Bachtina i Ricoeura przełamują się tutaj przez pryzmat tekstualizmu. Chodzi nie tylko o to, że Komendant odwołuje się do Rolanda Barthes’a, zaś problematyka pisma i różnicy w esejach *Końca świata nie było...* oraz *Antygravitacja* może być uznana za ślad lektury Derridy. Rzecz w tym, że przestrzeń społeczna, jaką wyznacza i jaką stanowi wielogłos „jednostkowych zdań”, funkcjonuje na podobieństwo „nieobramowanego”, autogeneratywnego i heterogenicznego tekstu-sieci.

Stwarza to zresztą pewne kłopoty dla hermeneutycznego projektu lektury, jaki w *Zostaje kantyczka* zarysował Komendant. Píše autor:

„Próbuję (...) czytać je [teksty kultury – dop. K.U.] jako świadectwa historyczne, to znaczy nie redukować ich do komunikatu, do przesłania w nie wpisane, lecz traktować jako **ślady**, pozostawić im zewnętrzną i czas” (ZK, 26).

„Chciałbym (...) aby mój głos nie unieruchamiał cudzego głosu, ale wchodził z nim w związek; abym był przed tekstem równie bezbronny, jak bezbronny jest tekst przede mną” (ZK, 58).

Realizacją takich dążeń miał być choćby szkic *Antygrawitacja*. Poezja Dominika Opolskiego nie jest tutaj przedmiotem (komentarza czy nawet interpretacji), lecz kontrapunktem, wobec którego ustawia się i określa głos eseisty. Bo przecież – przeczytamy w szkicu *Odpowiedzialność piszącego, odpowiedzialność formy*, poświęconym Henrykowi Berezie oraz Rolandowi Barthes'owi (nb. warto zwrócić uwagę, że podstawą zestawienia obu krytyków jest **etyka odpowiedzialności**) – „Lektura jest miejscem spotkania dwu subiektywności: piszącego i czytelnika” (ZK, 138). Tak stoi w części poświęconej Berezie. We fragmencie jednak dotyczącym Barthes'a „dwie subiektywności” zostaną zastąpione przez dwie „formy”, dwa różne sposoby pisania, dwa różne *les écritures*. Oto jest pytanie: czy konfrontacja dwóch różnych sposobów pisania pozostaje wciąż **formą spotkania**? I czy byłoby to spotkanie, o jakim mówimy w ramach filozofii dialogu, czy może raczej coś na kształt **potykania się** ze sobą zantagonizowanych sposobów pisania?

Zwróćmy uwagę, za odpowiednik słowa „écriture” Komendant uznaje polskie „pisanie”, mówi również o „charakterze pisma”, ale nigdy – o piśmie. To rozróżnienie ważne, bo nawet „charakteru pisma” nie wolno rozumieć jako „stylu”, indywidualnej odmiany jednego i tego samego języka, wspólnego pisma czy powszechnej literatury. Czytamy: „Charakter pisma (...) nie jest znakiem solidarności, écriture jest zawsze jednostkowe, indywidualne” (ZK, 139). Powołując się na *Éléments de sémiologie* Barthes'a, Komendant przyjmuje idiomatyczność écriture. Wszelako z perspektywy Barthes'owskiej „teorii” tekstu (a Komendant wspomina również *Le plaisir du texte*) musimy koniecznie dodać, że idiomatyczność nie wyklucza tu bynajmniej heterogeniczności. Wręcz przeciwnie – właśnie heterogeniczność zabezpiecza odrębność idiomu. Wszelkie nieskodyfikowane socjolekty i idiolekty zawsze jawią się nam jako niezborne mieszaniny różnych stylów, odmianą zaś języka okazują się dopiero po ich opisaniu i „oczyszczeniu”. Heterogeniczność écriture przynosi ze sobą jednak i tę konsekwencję, że „jednostkowe zdanie” nigdy się nie zawiera w żadnej jednostkowości. Oznacza to, że „jednostkowe zdanie” nie jest elementarną jednostką złożonego tekstu, lecz samo jest (mnogim) tekstem kolejnego rzędu. **Głos**

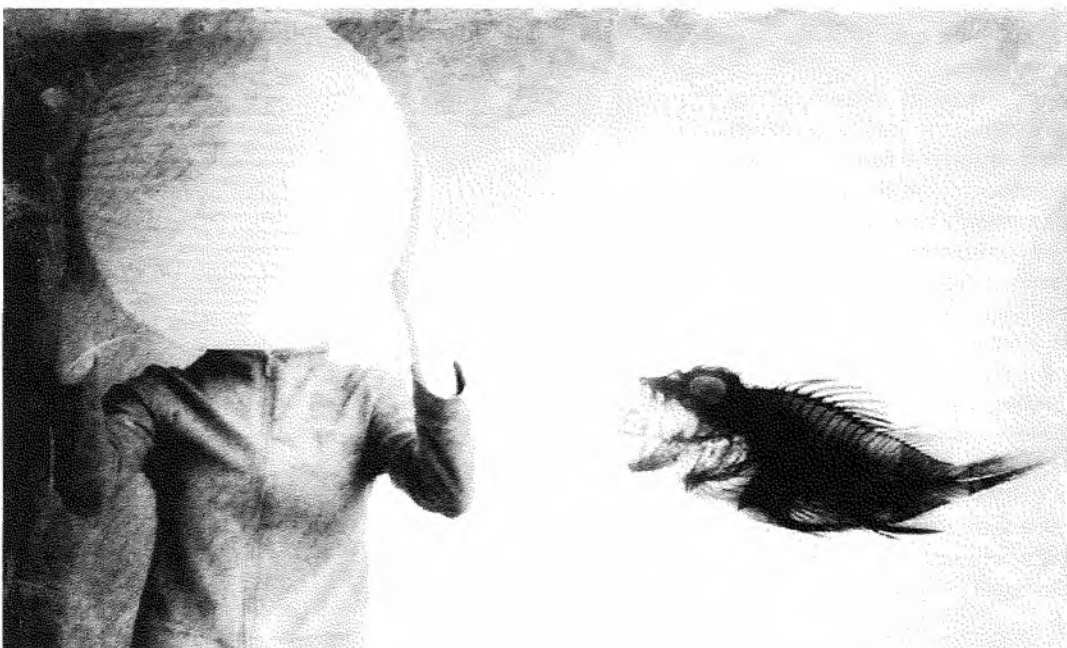
rozszczenia się w tekst, wypowiedzanie okazuje się formą pisania. Czas – ten motyw będzie wracał w późniejszych tekstach Komendanta¹⁵ – jawi się jako **rozsunięcie**, które niweczy synchronię, zrywa założone porozumienie, nie pozwalając mówić o współobecności podmiotów i współmierności sensu, a wreszcie – decydując o tym, że każda replika przychodzi zawsze za późno, **po** czasie.

Nie powinniśmy jednak wyciągać stąd pochopnego wniosku, że u Komendanta głos i mowa są podporządkowane pismu. Wszystko, co zostało powiedziane, oznacza jedynie, że ani mówienie nie przeciwstawia się pisaniu, ani pisanie – mówieniu: „Kiedy załamało się przekonanie o racjonalności historii, gdy pospołu z tą wiarą upadła [„strukturalistyczna” – dop. K.U.] wiara w tekst (ów złoty samorodek prawdy), pozostało jeszcze to jedno: **literatura, myślenie są działaniem**” (ZK, 156). Skoro tak, to powinniśmy raz na zawsze skończyć z przeciwstawianiem sobie, z jednej strony, pisania i mówienia jako mówienia, z drugiej zaś – działania i mówienia jako działania. Chodzi zaś o przeciwstawienie należące do rzędu tych, które ukonstytuowały kulturę nowoczesną, ale jednocześnie w szczególny sposób określiło ono naszą rodzimą, postromantyczną tradycję.

Posłuchajmy, co w obchodzącej nas kwestii zeznał Marcin Król:

„Kiedy piszę te uwagi w maju 1982 roku – piszę w przeświadczeniu, że sam temat jest ważny – z jednej strony stale towarzyszy mi poczucie absurdu, bowiem chcę naruszyć chociaż trochę szańce Nieustającego Zbaraża, zarysować ewentualność ofensywy. (...) Z drugiej strony zaś mam poczucie nie stosowności, nieprzyzwoitości: ludzie siedzą w więzieniach, inni coś robią, mówią, zbierają się, chodzą, urągają, manifestują, śpiewają, czekają, piętnują, wzywają, apelują, nie śpią, nie jedzą, latają po mieście, zanoszą wołania, spekulują, a ja siedzę w domu, wyglądam przez okno, czasem trochę się boję o siebie, o innych, ale przede wszystkim piszę”¹⁶.

Jakkolwiek w 1982 roku problem zakrawał na absurdalny, to mimo wszystko naprawdę można było doświadczać poczucia co najmniej nie stosowności, przekładając „słowo” nad „czyn”, zajmując się pisaniem zamiast konspirowaniem. Kto wie, być może z tego właśnie kłinczu Marcin Król spróbował



wybrnąć w roku 1987, wznawiając niezależne czasopismo „Res Publica” i przenosząc je do obiegu oficjalnego. Bo jeśli tylko pamiętamy, że pisanie jest praktyką społeczną, to tym samym otrzymujemy szansę wywikłania się z sieci dialektycznych sprzeczności, pożegnania i rozstania z wiekiem ideologii, a być może również – z nieszczęsną, choć jakże nam bliską epoką nowoczesną.

Jeżeli zgodzimy się, że lata siedemdziesiąte były dla Polaków czasem odzyskiwania głosu, jeżeli „Solidarność” uznamy za „jednostkowe zdanie” społeczeństwa jako podmiotu¹⁷, to jednocześnie Tadeusz Komendant skłaniałby nas do pisania jako praktyki społecznej, do takiego „przedłużenia” zdania-głosu-wypowiedzi z Sierpnia 1980, które otwierałoby się na różnorodność, sankcjonowało odrębność jednostki, ale też oznaczało zgodę na jej równorzędność wobec innych podmiotów. Bo choć – jak już wiemy – autor *Zostaje kantyczka* uważał, że „charakter pisma (...) nie jest znakiem solidarności”, to jednocześnie, ledwie dwie stroniczki dalej, ogłaszał: „Pisanie (écriture) – to moment wyboru, akt solidarności historycznej” (ZK, 141). Pisanie nie może przecież ani nie powinno oznaczać samotności, która przeciwstawiałaby się solidarnej wspólnotocie. Zdaniem Komendanta problem nie polega na wyborze między samotnością a solidarnością, lecz między **znakiem** solidarności oraz **aktem** solidarności. Ten ostatni nie oznaczałby partycypacji we wspólnocie uczuć, dążeń, wartości, lecz wiązałby się z wystąpieniem z własnym zdaniem (w sprawie), a tym samym – polegałby na współuczestnictwie w praktyce społecznej i poczuciu współodpowiedzialności za jej kształt.

W połowie dziewiątej dekady krytyk nie mógł nie dostrzec, że sprawy postępują w zupełnie innym kierunku. W zakończeniu książki, odnosząc się do praktyk społecznych i kulturowych z okresu stanu wojennego oraz tuż po stanie wojennym, Komendant powie w trybie publicystycznym, nie tając goryczy i zaniepokojenia:

„Tyle mówiliśmy – i nadal mówimy – o prawdzie, że w końcu udało się ją zsakralizować. (...) To niebezpieczna mesjanistyczna czkawka i groźne wmówienie, w najlepszej wierze popełniane przez tych – którzy, z braku innego języka, zafascynowani tłumami na spektakularnych uroczystościach kościelnych i zwykłych mszach – pieją o katolickości narodu. Powtarzam: groźne wmówienie. (...) zamiast budzić, usypia sumienia: rzeczywisty konflikt społeczny (a ten trwa, pogłębia się i ewoluuje moim zdaniem w bardzo niebezpiecznym kierunku – antyinteligencji) umieszcza na zupełnie nieadekwatnej płaszczyźnie wojen religijnych” (ZK, 213).

Z perspektywy lat przychodzi się zastanowić, czy przypadkiem nie dlatego właśnie, kiedy już minął czas jedności i kiedy wolność naprawdę nadeszła, wówczas praktykowanie demokracji i pluralizmu rozpoczęliśmy od „wojny na górze”... Owszem, mogłoby się wydawać, że w społeczeństwach komunistycznych i postkomunistycznych, mówienie o końcu wieku ideologii, katastrofie „Wielkich Słów”, kresie literatury, filozofii i początku pisania jest równie mało uzasadnione, co teza o „końcu historii” w kontekście wojen bałkańskich czy świeżego konfliktu na Kaukazie. Zgoda, wszystko to prawda. A jednak nie umiem pozbyć się wrażenia, że nasze polskie konflikty o historię i symbole, wojny i wojenki światopoglądowe, egzorcyzmy lustracyjne i antylustracyjne – że wszystko to, choć wyzwala i angażuje wiele emocji, jest ledwie medialnym spektaklem. Zasadnicza zaś część życia społecznego rozgrywa się gdzieś obok i poza tym wszystkim, ignorując i będąc ignorowana przez dyskurs nasz publiczny...

Post scriptum

Jerzy Malewski i Tadeusz Komendant nie spierali się ze sobą ani w latach osiemdziesiątych, ani nigdy później. Owszem, w dziesiątej dekadzie zdania i teksty wymienili ze sobą Komendant i... „autor *Widziałem wolność w Warszawie*, Włodzimierz Bolecki”¹⁸. Poszło – pójść musiało – o postmodernizm.

Przypomnijmy w największym skrócie. Według Komendanta Bolecki uznał problem za intelektualną fanaberię oraz fetysz, który ma się dokładnie nijak do rodzimych doświadczeń społeczno-kulturowych. Skoro bowiem w warunkach polskich nowoczesność wciąż zachowuje atrakcyjność i aktualność, tedy rozprawianie o ponowoczesności będzie w najlepszym razie humanistyczną ciekawostką, próby zaś naśladowania form stylistyczno-estetycznych z Zachodu muszą się skończyć jak zawsze – dokonaniem poronionym. Odpowiadając oponentom, Bolecki tak rzecz tłumaczył w książce wydanej pod koniec dziesiątej dekady:

„Dyskutując o **post**-modernizmie (w Polsce), trzeba pamiętać, że rozwijający się w latach międzywojennych dojrzały modernizm został najpierw przecięty przez II wojnę światową, a następnie najdosłowniej wdeptany w ziemię przez socrealizm i ideologię stalinowską. Modernizm jest w Polsce rzeczywistością »nie dokończonym projektem«. Nie doświadczyły tego społeczeństwa zachodnie, a przede wszystkim amerykańskie, toteż przenoszenie amerykańskiej walki z modernizmem w kulturze na grunt literatury polskiej prowadzić musi do stałych nieporozumień terminologicznych i karykatury interpretacji historycznej. Kultura wyrosła na kontestacji opresyjnych dyskursów społeczeństwa liberalnego i demokratycznego kapitalizmu komunikuje jednak inne doświadczenie niż kultura, której specyfikę określała walka z opresją komunizmu”¹⁹.

Odrębność doświadczeń historycznych nie będzie jednak żadnym argumentem, jeśli tylko przyjmujemy, że angloamerykański modernizm nie stanowi tu żadnego wzoru ani modelu, komunistyczna zaś opresja oraz program budowy kultury socjalistycznej nie oznaczają wcale wypadku z modernizmem (decydującym o naszym zapóźnieniu społeczno-kulturowym), ale są jedną ze składowych rodzimego doświadczenia nowoczesności. Z punktu widzenia Komendanta będzie oczywiście, że swego rodzaju „perspektywa postmodernistyczna” pojawiła się w Polsce w następstwie doświadczeń Marca 1968 roku.

„Perspektywa” nie oznacza jednak realnego zjawiska. Jeśli tytuł artykułu Komendanta, który rozpoczyna krótka polemika z Boleckim i który jest de facto omówieniem książek Bogdana Barana (*POSTmodernizm*, 1992) oraz Tadeuszów Rachwał i Sławka (*Maszyna do pisanie*, 1992), brzmi: *Czy ujrzą postmodernizm w Warszawie?*, to oczywiście taka akurat modalność istnienia zjawiska „nadwiślańska ponowoczesność” czyni wyjątkowo potencjalnym i warunkowym.

Potencjalnym i warunkowym, ale również – pożądanym. Pożądanym, jeśli tylko postmodernizm okazałby się „właściwym językiem” naszej wolności. W listopadzie 1981 roku Komendant pisał:

„Minął rok, podczas którego można było powiedzieć wszystko. Ale czy ów język wolności okazał się tym, na co czekaliśmy? Na razie jest znakiem albo ideowego opowiedzenia się, albo językiem pobożnych życzeń. Jeszcze raz – bezsilny wobec rzeczywistości – zastępuje rzeczywistość” (ZK, 196).

Niebawem minie już nie rok, lecz dwadzieścia lat, odkąd możemy powiedzieć (prawie) wszystko. I co takiego udało się nam powiedzieć po roku 1989? Na świadka postanowiłem wezwać nie żadnego z przeciwników najnowszej literatury polskiej czy też kogoś, kto ją przywykł lekceważyć i zbywać, lecz jedną z najbardziej zdeklarowanych sekundantek:

„Dziś wszystko wskazuje na to, że tzw. przełom w literaturze mamy już za sobą. Wyrok zapadł. Nic ciekawego i nowego się nie objawiło, czas wracać więc na utarte ścieżki. Młoda literatura pokazała nam swój bunt, odmowę uczestnictwa w zastanym świecie, przekorę, dowartościowała indywidualizm, feminizm, zupełnie niekatolicką metafizykę, wysmiała kilka mitów i – setnie nas znudziła”²⁰.

To Kinga Dunin z *Normalki*. Był rok 2000. Wspólnym wysiłkiem odbudowaliśmy „jednorodną przestrzeń komunikacji”, gdzie motywy ideologiczne i ekonomiczne zostały sprzęgnięte w ów kompleks medialny, który po latach zdemaskował w *Powrocie centrali* Przemysław Czapliński²¹, choć przecie wprzód – wraz z całą krytyką towarzyszącą, jako krytyk wśród krytyków najbardziej wpływowy – dobrze się powstaniu tego kompleksu przysłużył.

Być może się mylę, ale kto wie, czy starego sporu Tadeusza Komendanta z Włodzimierzem Boleckim – a przecież trudno mi ukryć, że sam też nieopatrznie włożyłem tu głowę między ostrza potężnych szermierzy – nie poczęły rozstrzygać te książki, które się pojawiły po roku 2000: książki Doroty Małowskiej, Michała Witkowskiego, Mariusza Sieniewicza i innych, książki korzystające zarazem z Gombrowicza czy Białoszewskiego, jak też – nieważne, czy świadomie – socjolingwistycznej prozy z lat siedemdziesiątych, tej najpilniej strzeżonej (bo stygmatyzowanej hasłem „berezacy”) tajemnicy polskiej literatury współczesnej. Spór o to, czy reaktywują one „dojrzały modernizm”, czy też może inicjują – nareszcie w sposób, którego nie da się prześlepić – postmodernizm, nie jest tu najważniejszy i podniecać się nim mogą chyba tylko zawodowi badacze tendencji artystycznych oraz ideowych w literaturze najnowszej. Najważniejsze, że wszystkie te nowe książki są zarazem „gestem językowym”, pisaniem traktowanym jako praktyka społeczna.

PRZYPISY

1. J. Malewski [wł. W. Bolecki]: *Widziałem wolność w Warszawie. Szkice 1982-1987*. London 1989. Wszystkie cytaty i odwołania do tej pozycji będą oznaczane w tekście głównym symbolem WWW oraz numerem strony.
2. Przytoczona wraz z drobną literówką. W wersji drugim znajdujemy formę „bajka” zamiast poprawnej „bajką”, będącej rymem do „nahajką”.
3. H. Sienkiewicz: *Quo vadis. Powieść*. Warszawa 1955, s. 224.
4. Wspomnijmy tylko Front Jedności Narodu (1952-1983; w latach 1952-1956 pod nazwą Front Narodowy) jako agregat skupiający wszystkie najistotniejsze organizacje publiczne w komunistycznym państwie. Zgodnie z art. 3. pkt. 3 Konstytucji PRL „Front Jedności Narodu jest wspólną płaszczyzną działania organizacji społecznych ludu pracującego i patriotycznego zespoleń wszystkich obywateli – członków partii, stronnictw politycznych i bezpartyjnych, niezależnie od ich stosunku do religii – wokół żywotnych interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Rozwiązany podczas IX Zjazdu PZPR znalazł swoją funkcjonalną kontynuację w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego, kierowanym przez pisarza, Jana Dobraczyńskiego.

5. Mieszkańcem komunistycznej utopii miał być każdy, kto zrealizował twórczy potencjał zawarty w pojęciu człowieczeństwa i kto na drodze wyzwolenia od uwarunkowań zewnętrznych oraz ograniczeń psychomentalnych dokonał „skoku z królestwa konieczności w królestwo wolności”, by przypomnieć słynną formułę Engelsa (z *Anty-Dühringa*), a zarazem tytuł świetnej książki Andrzeja Walickiego (*Markszizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii*. Warszawa 1996). Jak pisał partyjny publicysta z epoki: „Tak właśnie wyobrażamy sobie człowieka okresu rozwiniętego socjalizmu – żyjącego we wzrastającym dostatku materialnym, wolnego od większych trosk bytowych, ale wyposażonego przy tym w taką filozofię życiową, która nie czyni z owego posiadania dóbr materialnych wartości samej w sobie, wypełniającej do końca jego aspiracje i przesłaniającej wartości wyższego rzędu. (...) Tworzymy socjalizm nie po to, aby wykonać wskazania abstrakcyjnych zasad teoretycznych, ale po to, by jak najlepiej służył ludziom. Człowiek jest w socjalizmie wartością najwyższą – dlatego przez postęp rozumiemy to, co przybliża do nieskrępowanego rozwoju jego twórczej natury, co stwarza mu możliwości autokreacji, wykorzystania wszystkich tkwiących w nim zdolności i talentów, coraz pełniejszego zaspokajania jego różnorodnych potrzeb”. (M. Jaworski: *Apetyt na kulturę*. Warszawa 1979, s. 11-12.)
6. Dlatego też przywódca „Solidarności”, z Lechem Wałęsą na czele, w dobie stanu wojennego byli konsekwentnie przedstawiani przez oficjalny dyskurs publiczny jako „osoby prywatne”. Malewski podejmuje tę kwestię w następującym po *Kryzysie, czyli świetności szkicu „Solidarność” – osoba prywatna* (zob. WWW).
7. Ta formułka jest oczywiście aluzją do znanej rozprawy Giorgia Agambena: *Homo sacer. Suwerenna władza i nagie życie*. Przeł. M. Salwa. Posłowie P. Nowak. Warszawa 2008.
8. Zdaniem Malewskiego, „wizerunek Polaków jako zwolenników socjalkomunizmu i wszelkich odmian lewicy” to wyłącznie propagandowy mit (WWW, 202), który został obalony przez ruch „Solidarności”: „Komuniści nie mogą jej [„Solidarności” – przyp. K.U.] przedstawić jako ruchu akceptującego komunizm. Zachód nie może jej przedstawić jako ruchu identycznego jedynie z socjaldemokracją czy jakkolwiek formą komunistycznej lewicy. W ten sposób świat znowu stanął przed problemem polskiej odrębności” (WWW, 203-204). Można się jednak zastanowić, czy twierdzenie, iż Polakom obca jest jakkolwiek formuła lewicowości, też nie należy do niemających nic wspólnego z empirią ideologów.
9. Nie trzeba dodawać, że język taki został uznany za świadectwo, a zarazem instrument walki o samostanowienie społeczeństwa, a więc – o niepodległość po prostu. Wyprowadzony z doświadczenia nocy grudniowej 1981 roku wniosek, że jakkolwiek rzeczywista reforma panującego systemu politycznego czy też kompromis z władzą to czy sta mrzonka, Malewski przedstawił jako najistotniejszą zdobycz świadomości społecznej w latach osiemdziesiątych. Taki właśnie sąd szczególnie dobitnie został wyrażony w zamykających książkę artykułach *Mój aneks do „Solidarności”* i *Teheranu oraz Kilka myśli o tym, co się stało*.
10. T. Komendant: *Zostaje kantyczka. Eseje z pogranicza czasów*. [Kraków] 1987. Wszystkie cytaty i odwołania do tej pozycji będą oznaczane w tekście głównym symbolem ZK oraz numerem strony.
Podobnie jak w wypadku książki Malewskiego, tytuł *Zostaje kantyczka* jest cytatem. Tym razem z wiersza Czesława Miłosza *Nie tak*, pochodzącego z tomu *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* (1974), swoistego lamentu podmiotu-poety, którego jedyną troską był język, „Sielankowy, dziecienny język, który wzniosłe zamienia w tklive. / I rozpada się hymn albo psalm przodownika chóru, zostaje kantyczka.” (Cz. Miłosz: *Wiersze*. Kraków 1987, t. 2, s. 212). Tę, według Komendanta, „modlitwę człowieka niewolnego” (ZK, 14), uświadamiającą nam „niewolę w wolności” (tamże) warto skonfrontować i przemyśleć w kontekście *Przesłania Pana Cogito*, „modlitwy człowieka wolnego w niewoli” (tamże).
11. Tadeusz Komendant to rocznik 1952. Podobnie zresztą Malewski-Bolecki. Obaj zatem obserwowali wydarzenia marcowe z perspektywy licealisty.
12. Jak wiadomo, zwrot „koniec wieku ideologii” pojawił się w tytule przekładu eseju Arona *L'opium des intellectuels* (wyd. oryg. – 1955), wydanego w ramach Biblioteki „Kultury”. Zob. R. Aron: *Koniec wieku ideologii*. Przeł. Cz. Miłosz. Paryż 1956. Drugoobiegowe wznowienie tej pozycji ukazało się w roku 1983, firmowane przez Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze. W roku 1960 natomiast ukazała się pierwsza z klasycznych prac Daniela Bella: *The End of Ideology. On the Exhaustion of Political Ideas in the Fifties* (The Free Press of Glencoe. Illinois 1960) – dotychczas nietłumaczona na język polski.
13. Z podobnymi tezami wystąpił w latach osiemdziesiątych Krzysztof Rutkowski w książkach *Ani było, ani jest. Szkice literackie* (Warszawa 1984) oraz *Przeciw (w) literaturze. Eseje o „poezji czynnej” Mirona Białoszewskiego i Edwarda Stachury* (Bydgoszcz 1987). Tę zbieżność akurat łatwo wytłumaczyć: Komendant i Rutkowski spotykali się choćby w redakcji i na łamach „Twórczości”.
14. Zob. P. Ricoeur: *Język, tekst, interpretacja. Wybór pism*. Wybrała i wstępem poprzedziła K. Rosner. Przeł. P. Graff i K. Rosner. Warszawa 1989.
15. Por. (...) europejskiemu doświadczeniu czasu patronuje autor Państwa Bożego, święty Augustyn. Czas był tutaj zawsze inną nazwą sensu. Natomiast zza pozornie nieodpowiedzialnych, ludycznych pism postmodernistów wychyla się inna, nierównie groźniejsza twarz. To Saturn. Kronos Pozeracz” T. Komendant: *Czy ujrzę postmodernizm w Warszawie?* „Res Publica Nowa” 1993, nr 8, s. 70. Zagadnienie czasu, zasygnalizowane w *Zostaje kantyczka* (zob. ZK, 32), zostało też wysunięte na pierwszy plan w książce Komendanta: *Upadły czas. Esejów sześć i pół*. Gdańsk 1996.
16. M. Król: *Podróż romantyczna*. Paryż 1986. Cyt. za wydaniem „Oficyny Literackiej”. [Kraków] 1988, s. 29.
17. Dla autora *Zostaje kantyczka* symbolem Sierpnia okazał się... **magnetofon kasetowy** jako środek techniczny umożliwiający uwierzytelnienie, archiwizację i kolportaż mowy naruszającej monopol języka władzy. W ten sposób Komendant dopełnia, ale i koryguje uwagi Stanisława Rośka ze „strajkowego” numeru „Punktu” (nr 12 z 1981 roku): „Magnetofon kasetowy – dokumentaliści zauważyli wyciągnięty w kierunku głośników las rąk z grundigami – przypomina o współczesności. (...) Sięgnięcie po prawo głosu, wybór mowy – mowy możliwej do powielenia – był wyborem niezablokowanego kanału przekazu, bo system komunikacyjny, oparty na milczeniu, dotyczył tylko kultury piśmiennej. Ten kanał, jako że wolny, robotnicy uznali za swój” (ZK, 170). I dalej: „Gdańskie negocjacje były również (...) wielką operacją językową, która rozbiła przestrzeń mowy niczyjej, jaką posługiwała się władza. (...) Ta olbrzymia operacja była odrzuceniem podarowanego, bezosobowego języka, który mówił o jakimś kiedyś i gdzieś. Porozumienia gdańskie zmuszały do uznania tu i teraz – i do potwierdzenia tego tu i teraz własnym podpisem. Tak zniewiezona została sztuczna jednogłosowość, rozbity został monopol na prawdę, językowy kapitalizm” (ZK, 174) Odzyskany więc został zdarzeniowy aspekt wypowiedzi, co daje podstawę do stworzenia przestrzeni debaty społecznej jako wymiany i konfrontacji **różnych** zdań.
18. T. Komendant: *Czy ujrzę...*, dz. cyt., s. 67.
19. W. Bolecki: *Polowanie na postmodernistów (w Polsce) i inne szkice*. Kraków 1999, s. 13.
20. K. Dunin: *Normalka*. „Kurier Czytelniczy – Megaron”, nr 65 (2000).
21. Zob. P. Zapliński: *Powrót centrali. Literatura w nowej rzeczywistości*. Kraków 2007.